

Historie z paragrafem

Nadkomisarz oskarżony o zbrodnię

Ma za sobą 19 lat pracy w policji, karierę biegłego sędziego i blisko 6-letni pobyt za kratami. Prokuratura jest pewna, że zlecił zamordowanie kolegi. Już raz skazano go za to na dożywocie, ale wyrok został uchylony i proces toczy się od początku.

To dziwny człowiek. Zamknięty w sobie, powolny, nawet słamażarny. Z gatunku tych, którzy opowiadają niestworzone historie. Raz grał bohatera, który niczego się nie boi i wszystko może załatwić, a innym razem mówił, że czuje się zagrożony. Równocześnie jednak to bystry i inteligentny facet, który wie, jak manipulować ludźmi – tak opisują Jerzego K. byli koledzy policjanci.

W komendzie przy Mogilskiej często widywano go z 10-letnią Karoliną, pasierbicą przyszłej ofiary. Nie ukrywał, że chce ją adoptować i radził się, jak to przeprowadzić. To właśnie obsesyjna chęć opieki nad dziewczynką miała być motywem zlecenia zabójstwa Jacka F., jej ojczyma – twierdzi prokura-

tura. Z ustaleń śledczych wynika, że najpierw proponował rodzicom pieniądze – 25 tys. zł za zgodę na adopcję, a gdy się nie zgodzili, zorganizował grupę osiłków, którzy mieli ich zastraszyć. Kiedy i to nie poskutkowało, miał zaplanować i zlecić zabójstwo.

Do pierwszego napadu doszło wieczorem 22 marca 2004 r. Trzech osiłków wtargnęło do mieszkania Jacka F. i zażądało 4 tys. zł. Kiedy ich nie dostali, zaczęli straszyć i bić. Grozili wyrzuceniem dzieci przez okno, Jackowi F. złamali rękę i zebro. Wychodząc, zabrali karty bankomatowe i telefony komórkowe. Zabronili im dzwonić na policję. „Na Bieżanowskiej mamy swojego człowieka. Jak zadzwonis, zaraz się o tym dowiemy” – oświadczyli, wychodząc. Zapowiedzieli, że wrócą. I rzeczywiście wrócili po kilku tygodniach. Pobili wtedy również Edytę N., partnerkę życiową Jacka. Znowu zabrali telefon komórkowy i dokumenty, a całej rodzinie zagrozili śmiercią.

– Zgłoszenie o pierwszym napadzie dostaliśmy dopiero po ty-

godniu. Jacek F. bał się nawet pójść do lekarza i przez cały tydzień siedział w domu na proszkach przeciwbólowych z połamanymi zębami i ręką. Dopiero później dowiedzieliśmy się, że wizytę na policji odradzał im Jerzy K. i że obiecał im, że sam wszystko wyjaśni. Po drugim napadzie, gdy przyjechaliśmy na miejsce, zastaliśmy go w tym mieszkaniu. Przedstawił się jako przyjaciel rodziny – opowiada policjant z sekcji kryminalnej krakowskiej komendy miejskiej.

Policja długo nie mogła ustalić motywów napadów. Postanowiła więc ukryć rodzinę. – *Jacek F. prawie przez dwa tygodnie siedział u nas w komendzie, dzień w dzień. Był zdesperowany, do końca nie podejrzewał, kto za tym stoi i o co naprawdę chodzi. Edyta N. z dziećmi trafiła do domu opieki społecznej. Tylko dwóch policjantów wiedziało, gdzie się znajduje. A tymczasem któregoś dnia przyjechał tam Jerzy K., pokazał legitymację i przedstawił się jako policjant ze specjalnego wydziału, który ma chronić tę rodzinę. Natychmiast dostaliśmy w tej sprawie telefon.*

Pytamy go, co tam robi? Okazało się, że Edyta dała mu pod opiekę córkę Karolinę – opowiada policjant.

Edyta N.: – Długo trwało, nim w ogóle zaczęłam go podejrzewać. Po prostu nie było powodu, żeby miał nam źle życzyć. Mieszkaliśmy po sąsiedzku, chodziliśmy do siebie na kolacje. Traktowaliśmy go jak przyjaciela, zwierzailiśmy się z swoich kłopotów. To był naprawdę bardzo bliski kontakt. Tak bliski, że bez strachu powierzyłam mu Karolinę, kiedy uciekaliśmy do schroniska przed bandziorami. Wierzyłam, że się nią zajmie. Tym bardziej że córka była bardzo dobrze traktowana, jak księżniczka. U nas w domu było sporo dzieci, a tam tylko ona. Wszystko dla niej. Ale robił jej pranie mózgu. Zorientowałam się, że coś jest nie tak, gdy córka zadzwoniła kiedyś do mnie do schroniska z placzem. Ty mnie nie kochasz, bo jakbyś mnie kochała, to byś mnie ze sobą przetrzymała do schroniska. Strasznie się zdenerwowałam. Natychmiast zadzwoniłam do niego, żeby mi

ją oddał. Chcesz dziecko, to sobie po nie przyjedź! – usłyszałam. No to syn i mama pojechali i tego samego dnia ją przywieźli.

Według prokuratury, gdy policjant zorientował się, że opiekunowie dziewczynki stają się niewygodni, zaplanował zabójstwo Jacka F. Wynajęci przez niego bandyci uprowadzili go 17 czerwca 2004 r. z przystanku autobusowego. Pobili go. Zmusili, żeby wszedł do bagażnika samochodu i... pojechali pod komendę na ul. Mogilską. Tam wyszedł do nich Jerzy K. Zajrzał do bagażnika i oświadczył: „Pogadamy, cwaniaczku”. Po czym wrócił do pracy. Wspólnicy zawieźli Jacka F. nad Jezioro Rożnowskie, gdzie dźgali go nożem, a w końcu udusili i wrzucili nagie zwłoki do zbiornika. Obciążyli je jeszcze pustakiem. Wyłowiono je z wody dopiero po kilku tygodniach.

Wyraźny trop w śledztwie pojawił się po namierzeniu przez policję Tomasza K., jednego z zabójców, u którego znaleziono telefon skradziony podczas jedne-

go z napadów. Ustalono, że już później ktoś dzwonił z niego do Jerzego K. W tym momencie policjant znalazł się pod lupą funkcjonariuszy z Zarządu Spraw Wewnętrznych, tzw. policji w policji. On sam złożył raport o zwolnieniu z policji i przeszedł na emeryturę. Trafił do aresztu trzy miesiące później, tuż po tym, jak policja ustaliła, kto dwukrotnie napadał na mieszkanka Edyty i Jacka. Jeden z zatrzymanych bandytów wyjawiał wówczas, że „zostali wysłani do tej roboty przez K.”. Analiza billingów potwierdziła, że rzeczywiście kontaktowali się ze sobą.

Śledztwo w tej sprawie trwało prawie dwa lata. Pod koniec 2008 r. emerytowany nadkomisarz usłyszał wyrok: dożywocie. Sąd Apelacyjny dopatrzył się jednak uchybień w przebiegu procesu i skierował sprawę do ponownego rozpatrzenia. Jerzy K. stanął więc po raz drugi przed sądem. Konsekwentnie nie przyznaje się do niego.

EWA KOPCIK

AFRYKAŃSKI DLA POCZĄTKUJĄCYCH*Jakub Ciećkiewicz*

Pieśń baobabów

Za oknem płynie żółć. Potem brąz. Z rzadka uderza oslepiający fiesz słońca, odbitego nagle w dachach blaszanych bieda-domków. Wokoło tylko piach i kamienie, glina i kamienie, asfalt i kamienie. Wielka rozgrzana kuchnia Sahelu.

Po samochodach widzieli, że to już nie Mauretania. Saharyjskie auta przypominają wielkie, cementarne wraki – straszliwie pogięte, zdeformowane, zapadające się ku szosie albo dziwacznie wybrzuszone w jedną stronę, pozbawione świateł, klaksonów, obładowane ciężkimi workami ziemniaków – straszą po nocach jak wampiry. Za dnia są jednak pełne dumy, lśnią w słońcu, jakby chciały krzyknąć: – My, weterani szosy, jesteśmy nie do zastąpienia...

Tuż za zakrętem drogi na Wędrownika i Errola czekał patrol drogówki. – *Proszę otworzyć drzwi – zażądał gruby policjant. – Widzimy tu wielki bałagan, co w Senegalu jest przestępstwem – dodał drugi. – Ponieważ złamałeś przepisy o zdrowiu publicznym – wymierzmy mandat...*

Od morza wiał łagodny Alize, ciepły wiatr, wygładzający fale. Ożywcza bryza niosła za-

pach ryb i cierpki aromat wodorostów. Na plaży, ciągnącej się wzdłuż drogi, rybacy z plemienia Lebu układali czerwone dorady, różowe karpie, białe sole, płaty rekina, ogromne tuńczyki, mieczniki, lotty o świetnym, delikatnym mięsie i najwykwintniejsze – thiofy. Kobiety nie było, żeby je spotkać. Wędrownik musiał iść do wioski.

Przed grupą chat, na wielkim podwórzu, odbywała się prastara ceremonia „ndoep”: rytualny trzydniowy taniec, w trakcie którego matka, żony i dziewczęta przywołują duchy przodków. Spowite w kolorowe tuniki, tańczyły, podskakując wysoko w górę i rytmicznie w machując ramionami. Wpadały w trans, padały zemdlone na ziemię, dostawały drgawek.

Kiedy nadciągnął święty wiatr – barwy zgasły. Poprzez tumany kurzu widać było tylko kontury tańczących, które mnożyły się i zwielokrotniały, jak zawsze, gdy zstępują duchy. Zwabieni magicznym rytuałem opiekunowie rodów przybyli, żeby dodać ludziom nadziei, uleczyć chore dziecko, zapobiec nieszczęściu, zapewnić powodzenie. Wędrownik wiedział, że jeśli interwencja zmarłych nie pomoże, nocą swe rytuały rozpoczyna kapłani Rab – afrykańskiego voo doo...

Duchowość senegalskich plemion fascynuje. Liryczni Sererowie – niegdyś wyznawcy reinkarnacji – mają uzdolnienia hipnotyzerskie, jasnowidzą, posługują się telepatią i bilokacją – w razie potrzeby mogą się transformować, podczas snu, do krewnego oddalonego o setki kilometrów, aby udzielić mu wsparcia i pouczeń. Nieujarzmieni Diola wierzyli, że każdy człowiek ma duchowego sobowtóra – zwierzę, które musi odnaleźć w świętym lesie. Nieu-

straszeni Wolofowie – Strzelcy Senegalscy – spotykali się nocą ze zjawami... Zylły z nogami na ziemi, ale z głową w chmurach! Jak święte baobaby.

Szosa była niemal pusta. Coraz częściej widzieli rosnące w okolicy wielkie, życiodajne drzewa, które, jak mówi obiegowe powiedzonko – szatan posadził korzeniami ku niebu.

Baobaby wypemniają życie mieszkańców sawanny od urodzenia aż do śmierci: niemowlęta są myte w naparze ze sproszkowanych liści, a w dziuplach drzew grzebie się plemiennych griotów – opowiadaczy, pieśniarzy, dziejopisów, satyryków, muzyków i artystów – lokalnych Homerów. Tradycyjna kultura spleta się z naturą, tworząc wielką kosmiczną, nierozdzielna jednostkę!

Baobaby są dobroczynne. W otworach ich wielkich pni gromadzi się smaczny sok, z kory powstaje włókno służące do wyplatania koszy. Owoce, zwane „małpim chlebem”, można jeść, robić z nich smaczne mleczko, palić jak tytoń, przerabiać na mydło albo dodawać do ognia podczas wędzenia ryby. Gałązki stanowią składnik zup, ususzone liście to podstawa sosu too, przypominającego smakiem szpinak... Baobab ma również właściwości lecznicze: napary i sproszkowane części drzewa leczą: astmę, dyzenteryę, anemię, owsiaki, odrę, różyczkę, łagodzą ból po ugryzieniu insektów...

50 km od Tambacounda, w szczerym polu, wyprawowy nissan złapał gumę, potoczył się z piskiem w bok i stanął. Wokoło było pusto. Tylko



FOT. ANDRZEJ STARON

wiatr, dla zabawy, porywał z szosy wielkie kłęby piasku, stawał pionowo na baczność, wprawił w chochoł taniec. Po chwili z zakrętu wyłonił się rolnik z małym, drewnianym wózkiem, zaprzężonym w konia. Mocna, czarna sylwetka i szpiczasty nos zdradzały Wolofa. Bez słowa załadował koło do środka.

Czy Wolofowie mają króla? – zapytał z głupia frant Wędrownik. – Tak, nazywa się Abdoulaye Wade, jest prezydentem kraju, wybranym w demokratycznych wyborach na drugą kadencję. – uśmiechnął się rolnik. – A kiedyś, dawniej?

Właściciel wózka wspomina, że legendarny przywódca plemienia – Ndiadian Ndiaya – w XIII wieku założył tu królestwo Djolof. – *Był synem marokańskiego wojownika i księżniczki z Futa Toro. Wielki pan. Więc, kiedy jego ojciec zginął w bitwie, a matka wyszła za mąż za niewolnika, uciekł*

z domu przed hańbą. Błąkał się samotnie wśród bagien, wyszedł dopiero po latach, żeby rozsząć spór rybaków. Zaprowadził go do czarownika, który krzyknął – Ndiadian o! „Nadzwyczajnie”. I polecił czcić jak króla. Taki był los afrykańskiego Hamleta!

W kulturze senegalskiej wszystko miało ludzką miarę. Żeby zostać przywódcą plemienia, należało uprawiać politykę: prowadzić kampanie wyborcze, zabiegać o poparcie reprezentującej wszystkie kasty – rady elektorów – a po wyborze uzgadniać decyzje ze starszymi. Na tym polega demokracja! Demokracja zawsze była obecna w Afryce!

Istniały oczywiście kasty: książęta, szlachta, wolni rolnicy, rzemieślnicy, grioci... Ale każdy lepiej urodzony miał obowiązek opieki nad młodszymi urodzonymi gorzej! Zgodnie z zasadą: dziś ty pomożesz mnie – ja tobie jutro.

Byli też niewolnicy, którzy z wolna stawali się członkami rodzin. Jednych wyzwalamo, innych osadzano, jako dzierżawców, w osobnych wioskach, a najemniejsi zostawali do wódcami armii. „Wszyscy w plemienu mieli wysokie poczucie godności osobistej. Uważali się za „pięknie urodzonych” i zobowiązanych do odegrania „pięknej roli” – do demonstrowania opanowania, odwagi, prawości, grzeczności, lojalności, wierności i hojności” – pisze znawca Afryki Zygmunt Komorowski. Co z tego zostało po kolonizacji, kiedy wyrżnięto większość senegalskich wojowników?

Przy serwisie samochodowym rolnik zrzucił koło na ziemię. Errol chciał mu zapłacić, ale Wolof nie przyjął zapłaty. Próbowal go obdarować wodą – odmówił. Poszedł własną drogą machając na pożegnanie ręką.

Kierownik stacji naprawił samochód, a że było już późno – zaprosił przybyszy na kolację do domu. Siedli wokół miski, całą rodziną, pełną dzieci kierownika i jego krewnych, „oddanych” na wychowanie bogatemu, co jest w Afryce Zachodniej zjawiskiem powszechnym. Jedli thiebu dzień ze wspólnej miski. Na niebie plonęły kryształowe gwiazdy – noc przenikała pieśń griotów zamkniętych w dziuplach baobabów.

PS I. Kim jest Wędrownik? Duchem opowieści, unoszącym się ponad wyprawą Errola po Afryce. PS II. W trakcie pisania korzystałem z tekstów: Mamadou Dioufa, Bara Ndiaye, Anny Haris, książki: prof. Wiesława Olszewskiego oraz prof. Zygmunta Komorowskiego.